POLSKA AGENCJA TELEGRAFICZNA
50 ROCKEFELLER PLAZA, NEW YORK, N. Y.
BIULETYN POLSKI

Nr. 19 (?) 25 sierpnia 1943.

KONWOJ DO MURMANSKA

Przeszło rok temu kontrtorpedowiec polski "Garland" stoczył kilkudniową walkę, która stanowi jedną z najtragiczniejszych i równocześnie najpiękniejszych kart w jego stosunkowo krótkich, a już tak chlubnych dziejach wojennych.

Pewnego majowego ranka dowódca tego okrętu, znajdującego się podówczas w cichym porcie islandskim, otrzymał rozkaz przyłączenia się do eskadry, która miała sobie polecone ochronę znacznego konwoju alianckiego, przeznaczonego dla Rosji. "Garland" wyruszył bezzwłocznie w kierunku północnym, by- z chwilą zajęcia w eskorcie wyznaczonego stanowiska - przejąć sygnał, że nieprzyjacielskie samoloty i łodzie podwodne zdołały już wyśledzić obecność konwoju, a nawet określić jego pozycje. Pogotowie bojowe, natychmiast zarządzone, okazało się pierwszego dnia bezprzedmiotowe, ponieważ bardzo gęsta mgła stanowiła w ciągu całej doby najskuteczniejszą ochronę konwoju.

Ten stan rzeczy uległ gruntownej i wielce niepomyślnej zmianie w momencie, kiedy silny wiatr poszarpał na strzępy zasłonę z mgły, umożliwiając niemieckiemu samolotwi rozpoznawczemu przeprowadzenie dokładnego wywiadu. Załoga "Garlanda" ochrzciła nieprzyjacielski aparat ironicznym mianem "anioła-stroża", ponieważ towarzyszył on wytrwale konwojowi, unikając jednak przezornie zbliżenie się do kontr-torpedowca polskiego na odległość strzału armatniego. Ale z powierzonej mu służbowej misji zdołał on wywiązać się sprawnie, gdyż dnia 25-go maja dowódca eskorty polecił ostrzec sygnałem wszystkie okręty, że należy oczekiwać bezwłocznego ataku lotniczego niemieckich bombowców, nurkowców i torpedowców. Jakoż istotnie, w kilka minut po nadaniu tego sygnału walka się już rozpoczęła na dobre. Bardzo liczne formacje niemieckich aparatów rozmaitego typu zasypywały konwój gradem swoich pocisków, same wszakże przyjęte będą huraganowym ogniem artyleryjskim wszystkich okrętów eskortujących. Jedyny myśliwiec typu "Hurrican", który stanowił całą ochronę powietrzną konwoju, zestrzelił wprawdzie niemieckiego Heinkla i uszkodził drugi aparat, ale wkrótce potem liczyć można było już tylko na...armaty, jako na obronę. Junkers'y latały chmarami nad konwojem, rzucając bomby już dosłownie setkami. I chociaż udało się załodze Garlanda roztrzaskać jednego z tych Junkers'ów, który nieopatrznie nurkował zbyt blisko burty okrętu, ale jakiż to mogło mieć wpływ na przebieg samej walki, tak rozpaczliwie prowadzonej z nierównymi siłami.

Wszystko jak gdyby sprzysięgło się przeciwko nieszczęsnemu konwojowi - aż do wyjątkowo niepomyślnych dla nas warunków atmosferycznych, bitwa toczyła się bowiem latem w polarnej strefie, wskutek czego noc była tak samo jasna, jak pogodny dzień słoneczny. Ataki więc odbywały się bez przerwy i trwały pełnych 24 godzin na dobę. Podtrzymywanie intensywnego ognia artylerysjiego stało się w tych warunkach niemożliwe, gdyż 1) zapasy amunicji raptownie topniały, a 2) kanonierzy przy armatach zdradzali już kompletne wyczerpanie. A pomimo tego, walka nie ustawała ani na chwilę, prowadzona z gorączkową zaciętością przez wszystkie nasze załogi.

Dzień 27-go maja pozostanie chyba do śmierci pamiętnym wszystkim uczestnikom tej straszliwej walki. Okazało się, że najbliższa baza norweska "Luftwaffe" znajduje się w odległości zaledwie 40-u minut lotu, co dawało Niemcom możność prowadzenia walki rzeczywiście bez przerwy, aparaty ich bowiem, po zrzuceniu jednego ładunku bomb, udawały się do swojej bazy po nowe pociski, z którymi wracały natychmiast na pole bitwy. To też konwój ponosił coraz dotkliwsze straty, obrona bowiem w tych warunkach musiała stawać się coraz mniej skuteczna. Jedne statki tonęły natychmiast, inne stłoczone w jedną masę, pozostawały bezradnie na końcu konwoju - sytuacja pogarszała się niemal z każdą chwilą.

Popołudniu zauważyliśmy nowy sygnał ostrzegawczy dowódcy eskorty:"Silna formacja bombowców zbliża się do konwoju". Jasnem stało się dla nas, że tym razem Garland, wzięty będzie specjalnie na cel bomb niemieckich. Rzeczywiscie Junkersy poczęły nurkować wprost na

pokład kontr-torpedowca polskiego, ale pierwszy ich atak chybił celu. Telefon artyleryjski zapowiedział nową serię bomb. "Setki już spadły na nas, i co z tego?!" - rozległa się, w ogłuszającym huku pękających bomb, spokojna odpowiedź naszych marynarzy. Ale, niestety , nie wszystkie pociski niemieckie padały za burtę Garlandu - świadczyły o tym jęki coraz liczniejszych rannych i, co gorsza, wybuchy w magazynie amunicji na rufie okrętu, gdzie mieściły się pociski 120 mm. naszych armat, objęte już płomieniami. Marynarze zdali sobie błyskawicznie szybko sprawę ze straszliwego niebezpieczenstwa, grożącego kontr-torpedowcowi - krótki rozkaz wystarczył, i już nasi chłopcy poczęli gołemi rękoma chwytać płonące pociski, by rzucać je do morza. Gorączkowa ta akcja dokonywała się w najgłębszym milczeniu, jeszcze mocniej uwydatniającym tragizm sytuacji. Na domiarzłego, równocześnie kłęby dymu zaczęły wychodzić z głębi okrętu - widocznie pożar wynikł też i na samym dnie Garlanda: musiały zostać uszkodzone kotły...

Na pokładzie nie działo się lepiej - tylko jedna armata 75 mm. i druga 120 mm. były jeszcze zdatne do użytku. Ale kto miał je obsługiwać, skoro 50 ludzi z pośród załogi już było rannych i niezdolnych do walki. A prowadzić trzeba ją było nadal - mieliśmy sobie polecone ochronę konwoju, przeznaczonego dla Rosji i misję tę postanowiliśmy wypełnić. Przy armatach stanęli przygodni kanonierzy - cieśle, kucharze, magazynierzy... -, którzy strzelali bez przerwy pomiędzy trupami i wśród jęku rannych. Jakiś trauler, który, płynąc blisko nas, widział akcję Garlanda powinszował jej nam dosadnie zredagowanym sygnałem: "Cholernie fajną robotę wykonujecie...".

Pełną dobę trwała jeszcze walka w tych tragicznych warunkach. O wszystkim pamiętano, niczego nie zaniedbano: kiedy niemieckie bomby zniszczyły banderę Garlandu, załoga bezzwłocznie zaciągnęła nową na maszt. Nad ranem. następnego dnia dowódca eskorty dał nam rozkaz udania się bezpośrednio do Murmańska celem podjęcia próby ocalenia chociażby niektórych rannych. A kiedyśmy się oddalali, dowódca eskorty polecił zasalutować nas na pożegnanie i dać na drogę sygnał: "Szczęść Boże, waleczny okręcie!"

POLACY W BRYTYJSKIM PRZEMYSLE WOJENNYM

Przedstawiciel PAT'a miał sposobność zwiedzenia jednej z największej w Anglii fabryki, produkującej sprzęt lotniczy i pewne rodzaje broni specjalnej. Oględziny poszczególnych budynków zakończyły się serdeczną pogawędką w kantynie fabrycznej z kilkoma Polakami, zatrudnionymi w tej firmie. Pracuje tam ogółem przeszło 30-u Polaków, przyczem niektorzy z nich zajmują wyższe i bardzo odpowiedzialne stanowiska - szefa departamentu kalkulacyjnego, departamentu produkcji, zatrudniającego przeszło 300-u robotników, etc. W biurze konstrukcyjnym również znajdują się Polacy - są to po większej części wykwalifikowani fachowcy.

Do rozmowy, którą prowadzę w kantynie z dwoma rodakami, których nazwę po imieniu tylko: Bronisławem i Alfredem, przyłącza się ich kolega John, wobec czego dalsza pogawędka odbywa się już po angielsku" - opowiada przedstawiciel PAT'a.

"Bronisław - będący wytrawnym specjalistą, pracował on bowiem poprzednio w Sknilowskich Zakładach Lotniczych oraz w Warszawskiej Fabryce Samolotów - otrzymał, po przybyciu do Anglii i wstąpieniu do tej firmy, stanowsko jednego z inspektorów produkcji, co daje mu sposobność zbierania interesujących obserwacji, dotyczących organizacji wytwórczej i ustroju pracy. Dzieli się on swoimi spostrzeżeniami ze mną wyrażając się z dużym uznaniem o wartości robotnika brytyjskiego: "Setki tych ludzi nie posiadało poprzednio żadnego pojęcia o robocie, wykonywanej przez nich dzisiaj - są to dawni krawcy, piekarze czy nawet manikurzystki -, a obecnie, po krotkim przeszkoleniu, potrafią oni wykonywać bardzo skomplikowane czynności fabryczne. Jeżeli nasza produkcja wzrosła, w ciągu ostatnich dwuch lat, pięciokrotnie, to wyniki takie są zasługą głównie tych właśnie ludzi. - John, powiedz sam, czy mam rację? - zwrócił się Bronisław do swojego kolegi angielskiego.

John zaś nietylko zgodził się z wywodami Bronisława, ale począł gorąco wychwalać energię, zapał do pracy i koleżeńskość Polaków, przytaczając bardzo zabawne szczegóły pierwszego okresu współżycia przy warsztacie: "Pamiętasz, jak to, na początku, porozumiewaliśmy się na migi lub przy pomocy rysunków, ktorymi tłumaczyliśmy sobie wzajemnie nasze codzienne sprawy. Zresztą, trwało to dosyć krotko, bo nasze...dziewczęta robiły wszystko co mogły, by nauczyc was jaknajprędzej angielskiego, prawda?"- dodał z wesołym usmiechem.

pokład, a torpedowce polskie [illegible], ale zmieniły jej kurs, jak ciężkie ciało, zdołały wypuścić w powietrze nową serię bomb. Trafili jak w sportowej [illegible] na nas, i co z tego? - zdarzyła się, w następstwie [illegible] bomb, spokojna odpowiedź naszych marynarzy. Ale, niestety, nie wszystkie pociski nieprzyjaciela padały za burtą Garlandu - świadczyły o tym jęki coraz liczniejszych rannych i, co gorsze, wybuchy w magazynie amunicji na rufie okrętu, gdzie mieściły się pociski 120 mm. naszych armat, objęte już płomieniami. Marynarze zdali sobie błyskawicznie szybko sprawę ze straszliwego niebezpieczeństwa, grożącego kontr-torpedowcowi - krótki rozkaz wydał [illegible] - i już nasi chłopcy gołemi rękoma chwytać płonące pociski, by rzucać je do morza. Gorączkowa ta akcja dokonywała się w najlepszym porządku, jeszcze mocniej uwydatniającym tragizm sytuacji. Na domiar złego, równocześnie kłęby dymu zaczęły wychodzić z głębi okrętu - widocznie pożar wybuchł też i na samym dnie Garlandu: musiały zostać uszkodzone kotły...

Na pokładzie nie działo się lepiej - tylko jedna armata 76 mm. i druga 120 mm. były jeszcze zdatne do użytku. Ale kto miał je obsługiwać, skoro 50 ludzi z pośród załogi już było rannych i niezdolnych do walki. A prowadzić trzeba ją było nadal - nietylko sobie polecone ochraniać konwoje [illegible]

[illegible]

Potem jeszcze trwała jeszcze walka w tych tragicznych warunkach. O wszystkich perypetiach [illegible] kiedy niemieckie [illegible] Na rynku następnego dnia dowódca eskorty dał nam rozkaz udania się bezpośrednio do Murmańska celem oddania chorych i ciężko rannych niektórych rannych. A kiedy się oddalili, dowódca eskorty flotylli salutował nam na pożegnanie i dał na drogę sygnał: "Szczęść Boże, walecznym okrętom".

POLACY W BRYTYJSKIM PRZEMYŚLE WOJENNYM

Przedstawiciel PAT'a miał sposobność zwiedzenia jednej z największej w Anglii fabryki, produkującej sprzęt lotniczy i pewne rodzaje broni specjalnej. Oględziny poszczególnych budynków zakończyły się serdeczną pogawędką w kantynie fabrycznej z kilkoma Polakami, zatrudnionymi w tej firmie. Pracuje tam ogółem przeszło 60-u Polaków, przyczem niektórzy z nich zajmują wyższe i bardzo odpowiedzialne stanowiska - szefa departamentu kalkulacyjnego, departamentu produkcji, zatrudniającego przeszło 300-u robotników, etc. W biurze konstrukcyjnym również znajdują się Polacy - są to po większej części wykwalifikowani fachowcy.

Na naszą prośbę, [illegible] Bronisławem [illegible] John, wobec czego porozumiewają się już po angielsku" - opowiada przedstawicielowi PAT'a.

Bronisław, [illegible] wytwórczej i ustroju pracy. Dziwił się on swoim spostrzeżeniom, że ma wyrażając się z dużym uznaniem o wartości robotnika brytyjskiego: "Tak tych ludzi nie posiadało poprzednio żadnego pojęcia o robocie, wykonywanej przez nich dzisiaj - są to dawni krawcy, piekarze czy nawet manikiurzystki -, a obecnie, po krótkim przeszkoleniu, potrafią oni wykonywać bardzo skomplikowane czynności fabryczne. Jeżeli nasza produkcja wzrosła, w ciągu ostatnich dwuch lat, pięciokrotnie, to wyniki takie są zasługą również tych właśnie ludzi. - John, powiedz sam, czy mam rację? - zwrócił się Bronisław do swojego kolegi angielskiego.

John zaś nietylko zgodził się z wywodami Bronisława, ale począł go wychwalać otwarcie, zapał do pracy i koleżeńskość Polaków, przytaczając bardzo zabawne szczegóły pierwszego okresu współżycia przy warsztacie: "Pamiętasz, jak to, na początku, porozumiewaliśmy się na migi lub przy pomocy rysunków, których nie wystarczały nam zrozumienie nasze codzienne sprawy. Zresztą, trwało to dosyć krótko, bo nasze [illegible] przyswoili sobie wszystko bardzo prędko, by nauczyć was jakiejkolwiek angielskiego, prawda?" - dodał z wesołym uśmiechem.

Zdaje się, że John, mówiąc to, miał na myśli sąsiada swojego, Alfreda Slązaka, ktory przybył do Wielkiej Brytanii, ani słowa nie znając angielskiego. Historia bowiem Alfreda wymownie ilustruje typowe dzieje polskiej tułaczki w czasie obecnej wojny.

"Widzi pan, Alfred pracował wprawdzie i przed wojną w śląskich fabrykach broni, ale był on przedewszystkiem narciarzem, i to świetnym narciarzem" - tłumaczy Bronisław. Istotnie, Alfred i teraz jeszcze nosi w klapie od marynarki znaczek FIS'u (Międzynarodowej Federacji Narciarskiej), nazwisko zas jego niejednokrotnie figurowało na zaszczytnym miejscu w sprawozdaniach z międzynarodowych konkursów sportowych. Po kampanii wrzesniowej przedostał się on, jak wielu innych, do Rumunii, skąd wyjechał do Francji, mając już wówczas tam nadesłaną propozycję pracy w Anglii. Długo jednak trwało, zanim udało mu się objąć to stanowisko: pobyt we Francji przeciągnął się tak długo, że musiał na rowerze uciekać przed nadciągającymi wojskami niemieckimi, okręt zaś, na który wsiadł w małym porcie koło Bordeaux, cudem uniknął zatopienia przez bombowce "Luftwaffe".

John, który uważnie przysłuchiwał się opowiadaniu Alfreda, poklepał go serdecznie po ramieniu, mowiąc: "Doskonały z ciebie nabytek, Fred. Wszyscy wy, Polacy, jesteście wspaniałe chłopaki - polubiliśmy was bardzo i żal nam tych z pośród was, ktorzy tu zginęli, bo straciliśmy w nich prawdziwych przyjaciół". Polacy, o których wspomniał John, padli ofiarami jednego z licznych nalotow, dokonywanych przez Niemców w 1940 i 41 roku. "Goebbels wielokrotnie wprawdzie oznajmiał o doszczętnym zburzeniu naszej całej fabryki, faktycznie jednak nie przerwaliśmy pracy nawet i wówczas, kiedy Niemcom, przed dwoma laty, dwa razy udało się trafić bombami w nasze budynki, wszystkie więc zamówienia zostały terminowo wykonane" - zapewnia Bronisław. "Szkody, stosunkowo nieznaczne, zostały z nawiązką pomszczone ku tem większem zadowoleniu naszemu, że zrobiły to samoloty z naszej wytworni pochodzące " - wyjaśnia John, dodając, jako najbardziej przekonywujący argument: "Szkody były dlatego tak małe, że mieliśmy specjalne szczęście - koło naszej fabryki znajdowała się stacja dywizjonu mysliwców polskich, z ktorymi Szwaby bardzo nie lubią mieć do czynienia. Wolą oni w takich wypadkach zrzucać wszystkie bomby na chybił-trafił i wiać jaknajszybciej, bo ci Polacy to strasznie uparte chłopy - usiądzie taki lotnik polski na ogonie aparatu niemieckiego i już nie popuści aż do chwili, kiedy zestrzeli Szwaba na fest. Dlatego nie udało się Niemiaszkom zbombardować naszej fabryki" - tłumaczy z głębokiem przekonaniem John.

PIECHOTA

Wstała z ziemi rozmokłej czarna, zarośnięta,
z bajor, brudu, obdarta, dumnie wyszła z błota
poszarpana kulami, wichrami pocięta,
wyszła z głębi okopów - zwycięska piechota.

Stalą hełmów przykryta, ze złudzeń odarta,
czarna, smukła, koscista, jak śmierci martwota,
z wnęków ognia i burzy, podobna do czarta,
wyszła broni królowa - zwycięska piechota.

W oczach bólu natchnienie, a szczęki zawarte,
piersi żarem dyszące, a w sercu tęsknota.
Kończąc świętą, żelazną, nieustanną wartę,
wyszła z walki hartowna - zwycięska piechota.

Nikt jej kwiatów nie sypie, nie bije oklasków,
sama szara jak sępy, wśród krwi się szamota
zakurzona, wychudła, bez rakiet i blasków
wyszła dumna i harda - zwycięska piechota.

A gdy zaczną krzykami witać pułki zbrojne,
rzucać będą słowami z czerwieni i złota,
na bagnetach wygraną przyniesie im wojnę,
z krwi i błota wydartą - zwycięska piechota.

I znów szara jak pole, bez słów i baletów
wejdzie w gwarne ulice uderzeniem młota
z twarzą czarną, wychudła i błyskiem bagnetów
dumna, straszna, żelazna - zwycięska piechota.

Witold Szyfer

NAJWIEKSZA BITWA KAMPANII WRZESNIOWEJ

Swit dn. 17 września zastaje gen. Bortnowskiego z grupą Kutno na płaszczyźnie nadrzecznej u ujścia Bzury do Wisły. Krajobraz tu dość monotonny z rzadka rozrzuconymi laskami na piaskach, z kilku ubogimi wioskami i przygarścią osad kolonistów "Holendrów". Dywizje jak były nastawione w przeddzień, szturmują dalej o przejście przez Bzurę w kilku punktach, a właściwie na całej szerokości frontu od Sochaczewa po ujście tej rzeki. Lewe skrzydło grupy osłania Wisła, z poza której bije artyleria przeciwnika. Na prawym od zachodu front jest trzymany na linii Gąbin - Osmolin - Kiernozia - Sochaczew. Centralnym punktem sceny ostatniego aktu tragedii grupy Kutno jest ubożuchna osada Iłów.

Nad rzeką Bzurą trwa więc od świtu walka, lecz w tę niedzielę, cały front jest tam obsadzony przez Niemców oddziałami pancernymi, wspierającymi piechotę. Skierowane na przeprawy, stoją twarzą ku Warszawie w długich szeregach kolumny pomocnicze artylerii, tabory, szpitale, całe tyły dwóch armii polskich, czekając na chwilę kiedy rozpocznie się przeprawa przez rzekę. Wszyscy rozumieją, że przejść muszą i że przejdą. Niemcy ulegną. Zmęczenie przekracza już siły ludzkie, a straty w zabitych i rannych - wszystko co sobie można wyobrazić. Coraz to rzeka w jakiemś miejscu jest zatarasowana ciałami walczących, i nieprędko jej leniwy nurt unosi je ku Wiśle.

Tylko 50 km. do Warszawy. Czy pod jej murami po raz drugi ma się powtórzyć Cecora? Do tego dnia, do tego świtu, tych dwieście tysięcy Polaków u ujścia Bzury nie wątpi, każdy z nich wierzy, że rozkaz będzie dopełniony, że armie dojdą do Warszawy. Przez wszystkie te dni żołnierz widział pogodę na twarzy dowódców armii. Od nich przykład szedł do samego dołu, i żołnierz wierzył w swego przełożonego. Tak to na tych smutnych mazowieckich piaseczkach zbieraliśmy najpiękniejszy plon naszego wychowania wojska - bezwzględną wiarę żołnierza w oficera, przyjaźń i zaufanie wzajemne podkomendnego i dowódcy.

Dzień 17-go być może byłby ostatnim dniem walki o przeprawę, gdyby Polacy walczyli tylko z tym nieprzyjacielem, którego dotąd mieli przed sobą. Lecz w tę niedzielę ujrzeli jak legenda o skrzydlatych smokach staje się rzeczywistością, a nie posiadali broni, żeby z nimi walczyć. W powietrzu byli bezbronni.

O godz. 7 rano dwie armie lotnicze niemieckie, 1-a i 4-a gen. Kesselringa z Prus Wschodnich i gen. Loehra ze Śląska, w sumie zapewnie ponad czterdzieści dywizjonów bombowców rozpoczęły natarcie, które trwało do godz. 6 wieczór. "Huraganowy ogień z nieba" rozpoczęto 500-kilowymi bombami z dużej wysokości, a gdy rozproszono niemi ściśnięte na drogach kolumny, dobijano je mniejszymi. Po wyrzuceniu pocisków; lotnik strzelał z karabinów maszynowych, "do wszystkiego co żyło, co się poruszało" /" Und schiessen sollten wir auf alles, was unten lebte" - tak to sobie zanotował w pamiętniku jeden z nich /. " Bez przerwy nurkowały w dół samoloty, spływając jak silne dzikie ptaki na gromady ludzi na dole."

Naloty szły bez przerwy. Przeciętnie wystarczyło dywizjonowi dziesięć minut na dwukrotny miot bomb i wystrzelanie amunicji. Mimo, że czas ten był tak krótki, do dwustu samolotów naraz wisiało w powietrzu w zasięgu oka.

Równe pola i trochę drobnych wydm nie dawało możności ukrycia ani dla artylerii ani dla taborów, ani nawet dla ludzi. Trochę lasu nad Bzurą przy przeprawie pod Brochowem, drobne grupy drzew, wioski i pojedyńcze zagrody, a nawet pojedyńcze drzewa, tylko przyciągały uwagę napastników. Wszystko to zostało po raz setny trafione i spalone. Ludzie kryli się lejach od bomb, a więc i te leje stały się celem.

Rano polskie działa przeciwlotnicze zwalczały samoloty, część ich strąciły, lecz bezustannie strzelając, wkrótce wyczerpały amunicję i zamilkły. Wówczas napastnicy, mniej już sobie robiąc z ognia karabinów maszynowych, zniżali się i latając na wysokościach od 200 - 300m. szturmowali pojedyńcze działa, wozy i grupy ludzi.

Oddziały uległy rozproszeniu, związki zanikły. Lotnicy niemieccy poczęli wówczas polować na pojedyńczych ludzi. Dowódca 14-ej dywizji, chcąc się dostać samochodem do dowódcy armii, do Iłowa, jechał 14 km. trzy godziny i był przytem atakowany bezpośrednio dwanaście razy z samolotu. Nie była mu jednak pisana śmierć z ręki lotnika. Gen. Wład. poległ wprawdzie u końca podróży, lecz ugodzony granatem, bo już na całej płaszczyźnie, gdzie konała grupa Kutno, nie było miejsca, na które nie padałyby pociski artyleryjskie ze wszystkich stron.

"Kilkaset maszyn w kilkakrotnych nalotach - zapisał w swym diariuszu jeden z dowódców dywizjonów niemieckich - rzuciło kilka tysięcy centnarów bomb"... Właściwie nie centnarów ale tonn. Bombardujące samoloty, choćby używane przez nurkujące dywizjony, Heinkle III, brały do 2 tonn pocisków. Odległości były bliskie i maszyny obciążały się paliwem.

Nad grupą Kutno pracowało nie tylko całe lotnictwo bombardujące przeciwnika, lecz pod koniec dnia wszystkie maszyny, które mogły przywieść bomby. Dywizjony startowały po trzy, cztery razy. Najskromniej licząc wykonano tu nie mniej niż sto nalotów, czyli zrzucono trzy do czterech tysięcy tonn pocisków. Przy największych napadach na Anglię Niemcy nie przekroczyli według ich własnych oświadczeń pięciuset - siedmiuset tonn, a przecież tyle wystarczyło, żeby wielotysięczne Coventry zamienić w gruzy.

Lotnictwo walczyło w tej bitwie, w walce naziemnej; już nie jak dalekonośna artyleria prowadząca ogień huraganowy, lecz jak latająca kawaleria o niezwykłej sile ognia, jak kawaleria wykonywująca szarżę w tempie 400 km. na godzinę.

Takiej bitwy jeszcze nie znała historia.